

Silna i **bezkompromisowa kobieta** w świecie
brutalnych zbrodni

**MAŁGORZATA
RONC**

W ROZMOWIE Z
**JOANNA
PODGÓRSKA**

PROKURATOR

KOBIETA, KTÓRA SIĘ NIE BAŁA

SPRAWA TRYNKIEWICZA, zbrodnia bez *corpus delicti*,
tajemnicze **ZABÓJSTWO** dwóch przyjaciółek, **ŚMIERĆ PREZESA NIK-U**,
ŁAPÓWKI w szpitalu

Prokurator

Kobieta, która się nie bała

Małgorzata Ronc w rozmowie
z Joanną Podgórką

znak *litera
nova*

Kraków 2015

Copyright © by Małgorzata Ronc & Joanna Podgórska

Projekt okładki i fotografia Małgorzaty Ronc
Magda Kuc

Fotografia na pierwszej stronie okładki
Copyright © Shutterstock / Dmitrijs Bindemanis

Opieka redakcyjna
Agata Pieniążek

Redakcja
Mariusz Burchart

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku
d2d.pl

ISBN 978-83-240-2702-6

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie 1, Kraków 2015
Druk: Abedik

Rób, Gośka, rób

JOANNA PODGÓRSKA: Jak się dla Pani zaczęła sprawa Trynkiewicza?

MAŁGORZATA RONC: Robiłam porządki w kuchennych szafkach. Dopiero co przeprowadziliśmy się do nowego bloku na obrzeżach Piotrkowa. Mieszkam tu zresztą do dziś. Ale w tamtych latach budowano osiedla w szczerym błocie, chodnikami nikt się nie przejmował. Musiałam wozić kalosze w bagażniku, żeby suchą nogą dostać się do domu. Tego dnia miałam dokończyć rozpakowywanie kuchennych rzeczy po przeprowadzce. Moja córka Ania była wtedy malutka. Poprosiłam więc męża, żeby zabrał ją do babci, a ja po powrocie z pracy przebrałam się w dres i zabrałam do roboty.

Oczywiście wiedziałam o sprawie zaginionych chłopców: Krzysia, Artura i Tomka, którzy mieli wtedy po jedenaście, dwanaście lat. Huczało o tym już nie tylko w Piotrkowie Trybunalskim, ale w całym kraju. Setki

funkcjonariuszy przeczesywały metr po metrze teren wokół zalewu, gdzie ich ostatni raz widziano. Ale to milicja prowadziła poszukiwania. Prokurator wkracza, gdy pojawiają się sygnały o możliwości popełnienia przestępstwa.

Koło godziny siedemnastej do drzwi zapukał oficer dyżurny i zameldował: „Pani prokurator, znaleźliśmy w lesie ciała poszukiwanych chłopców”.

Nie mogli po Panią zadzwonić?

Nie, bo nie miałam telefonu. Proszę pamiętać, że to były lata osiemdziesiąte. Na założenie telefonu stacjonarnego czekało się długo. A komórkowych jeszcze nie było. Dlatego, kiedy coś się stało w środku nocy, przyjeżdżał po mnie radiowóz na sygnale, budząc przy okazji wszystkich sąsiadów. A to się zdarzało często, bo w pewnym momencie to właściwie ja prowadziłam w Piotrkowie wszystkie istotne sprawy, a zwłaszcza te, w których doszło do zabójstwa. Jest trup, wiadomo, prokurator Ronc jedzie na miejsce zdarzenia. Sprawę Trynkiewicza też siłą rzeczy ja dostałam.

Przebrałam się jak najszybciej w turecki dżinsowy komplecik, który wtedy nosiłam na okrągło. Zostawiłam mężowi kartkę: „Nie wiem, kiedy wrócę”, i pojechałam.

Dokąd?

Na Wierzeje. Ciała chłopców odnaleziono w lesie pod Piotrkowem. Były ułożone w jakiś dziwny kształt i podpalone. Gdy dotarliśmy na miejsce, ogień już się dopalił, ale nadal czułam duszący dym. Milicyjne ekipy już tam były. Nie wiem, jak to się stało, ale na miejscu była też rodzina jednego z chłopców. Trzeba było utrzymać ich z daleka od miejsca znalezienia zwłok. Rozumiałam ich rozpacz, ale to były dla śledztwa osoby postronne. Ciała były w fatalnym stanie. Musieliśmy czekać na biegłego z Łodzi, bo nasz był akurat na urlopie. Ekipa kryminalna i dochodzeniówka zabezpieczały ślady, robiły zdjęcia, szkice sytuacyjne. Ja nadzorowałam ich robotę.

Biegły dotarł dopiero późnym wieczorem. Zdecydował, że ciała trzeba przewieźć każde oddzielnie do Wojсковей Akademii Medycznej w Łodzi. Czekałiśmy na kolejne karetki. Do domu wróciłam około drugiej w nocy, cała przesiąknięta smrodem spalenizny. Już potem tego dżinsowego kompleciku tak bardzo nie lubiłam.

Milicjanci, którzy byli na miejscu odkrycia zwłok, twarde gliniarze z kilkunastoletnim stażem, opowiadając o tym, jeszcze dziś mają gulę w gardle. Mówią, że nie mogą się pozbyć tego widoku.

Łzy płynęły mi z oczu, ale trzeba było się skupić na pracy. Dla mnie jeszcze gorszy był widok Wojtusia, pierwszej ofiary Trynkiewicza, którego ciało odnaleźliśmy później.

Tamci trzej chłopcy byli poowijani w jakieś szmaty. Wojtuś był nagi, w stanie całkowitego rozkładu, przełamany wpół. Stopy w białych tenisówkach wbite miał w piersi.

Takie obrazy zostają przed oczami na zawsze. Do dziś pamiętam też twarz uduszonej dziewczętnastolatki, którą morderca zakopał w rowie. Jako prokurator natrzymałam się na wiele drastyczności: ofiary strasznych wypadków drogowych, brutalnych morderstw, samobójców. Nauczyłam się panować nad emocjami, spinałam się do działania. Dominowała myśl: zrobić wszystko, żeby ustalić sprawcę, żeby z nim wygrać, wyjaśnić, udowodnić.

Pamięta Pani pierwsze spotkanie z Trynkiewiczem?

Oczywiście. Roztrzęsiony, błądy, w fatalnym stanie. Sam przyznał, że jakieś relanium popił alkoholem. Uznałam, że tego dnia nie ma sensu zaczynać przesłuchania. Nie dało się z nim nawiązać żadnego kontaktu. Odesłałam go do lekarza. Rozmawiać zaczęliśmy dopiero następnego dnia. Ale nadal trudno było z niego cokolwiek wyciągnąć. Pytałam: „Czy pan to zrobił?”. Odpowiadał: „Nie wiem, chyba tak”. Takich rozmów były potem dziesiątki, ciągnęły się wiele godzin, ale on nigdy nie powiedział prawdy do końca. Nigdy nie powiedział, dlaczego zabił tych chłopców. Musieliśmy się tego domyślać na podstawie jego życiorysu i opinii biegłych psychiatrów.

Były momenty, gdy czuła się Pani zagrożona?

Tak. Podczas jednego z przesłuchań podejrzany rzucił się na mnie z łapami. Na szczęście zanim zdążył mnie dopaść, do pokoju przesłuchań wpadł policjant i go obezwładnił.

Najbardziej chyba się bałam podczas przesłuchiwania biznesmena, którego porwali i dość długo przetrzymywali bandyci, jak się potem okazało z gangu Sisiego z Opoczna. Udało mu się uciec.

Był przerażony, roztrzęsiony, ale mówił. A wiedział sporo. Opowiadał o przestępstwach, które popełniał gang Sisiego, o morderstwach, które miał na koncie. Trochę tej wiedzy było jak dla mnie za dużo: zabójstwa na zlecenie, porwania, egzekucje.

Inne prokuratury miały już wtedy pz-ety, czyli wydziały do spraw przestępczości zorganizowanej. Ja w Piotrkowie robiłam za jednoosobowy pz. Nie miałam żadnej ochrony. I żadnych wątpliwości, że jak będzie trzeba, to taki Sisi podejdzie i palnie mi w łeb. Nawet policjanci, którzy eskortowali porwanego biznesmena do prokuratury, mówili, że mają wrażenie, że ktoś ich obserwuje. W Łodzi pz-etami kierował prokurator Kazimierz Olejnik. Zadzwoniłam do niego i poprosiłam: „Kaziu, na litość boską, zabierz mi tę sprawę, bo ja sama nie dam rady”. Powiedział, że właśnie zamierzał to zrobić.

Ofiarą fizycznej napaści zostałam tylko raz i trochę przypadkiem. W areszcie śledczym w Piotrkowie

podejrzany, którego wcześniej skierowano na obserwację psychiatryczną i uznano za poczytalnego, zaczął mnie dusić. Chciał udowodnić, że nie jest tak normalny, jak panowie psychiatrzy orzekli. Zanim go ode mnie oderwali, na chwilę straciłam przytomność. To był przypadek, bo nie ja prowadziłam jego sprawę i znalazłam się tam z innego powodu. Wtedy panowały trudne warunki w areszcie. Była jedna sala widzeń z aresztowanymi, czy to dla prokuratora, czy dla rodziny, czy dla biegłych, czy dla mamusi. Parę stoliczków w jednym, małym pomieszczeniu.

Dziś to nie do wyobrażenia.

Na szczęście już nie. Zanim zaczęłam pracę w 1975 roku, prokuratura miała fantastyczną siedzibę, bo zajmowała skrzydło w pięknym budynku sądu, budowanym jeszcze za caratu. Ale zaraz potem zrobili z Piotrkowa Trybunalskiego miasto wojewódzkie i urzędowi wojewódzkiemu przyznano najlepszy budynek w mieście, wywalając stamtąd sąd i prokuraturę. Koledzy mi opowiadali, jak ich stamtąd wysiedlali. Przez okna spuszczano meble z pokoiów gościnnych, w których nocowali między innymi prokuratorzy, którzy przyjeżdżali do Piotrkowa wykonać jakieś czynności. Kanapy, wersalki, biurka. To były stare, porządne meble, niektóre jeszcze przedwojenne. Nie chciały się zmieścić przez drzwi.

Prokuratura rejonowa, czyli my, i komenda wojewódzka milicji dostały pomieszczenia po dawnym technikum odzieżowym. Milicja dwa piętra, a my trzy klasy i szatnię na parterze. W jednej klasie urzędowało ośmiu prokuratorów. Gdy kilku naraz prowadziło przesłuchania, robił się niezły hałas. W biurze szefa stała wersalka z pokoju gościnnego. U zastępcy nawet dwie. Gdzieś to trzeba było poutykać. Wyrzucić nie można, bo mie nie państwowe.

Prokuratura wojewódzka i tak miała gorzej, bo dostała siedzibę w bazie PKS. Hałas, smród spalin, okna nie szło tam otworzyć.

Później przenieśli nas do budynku zakładów ceramicznych. Też klity, ale tam mieliśmy luksus – dwupalnikową kuchenkę na korytarzu, gdzie można było sobie zrobić kawę czy herbatę. Kiedyś kolega w czasie zimy stulecia wrócił z jakiejś czynności kompletnie przemarznięty, aż nim trzęsło. Postanowiliśmy, że go podratujemy grzanym winem. Na korytarzu świadkowie, konwojenci z podejrzanymi, a my podgrzewamy czerwone wino z przyprawami. Szef poczuł i wyłeciał ze swojego pokoju z krzykiem: „Czy wyście na głowy poupadali?!”.

Potem się z tego śmiał. Wspominam te czasy z ogromnym sentymentem. Nieważne warunki, ale jak człowiek ma wsparcie szefa, inaczej się pracuje. A nasz to wsparcie dawał.

Głos, czyli koszmar nocy poślubnej

MAŁGORZATA RONC: *To była jedna z najdziwniejszych czynności prokuratorskich w mojej karierze. Chodziliśmy z magnetofonem po ciemku działkowymi alejkami. Jola przodem, tak aby nie widziała mówiącego, a za nią grupa kilkunastu osób: podejrzany z konwojem i adwokatem, ja i kilku przybranych. Mężczyźni kolejno czytali z kartki: „Specjalnie zmieniam głos”, „My się znamy”, „Chciałem się z tobą dwa razy umówić”, „Nie odwracaj się, bo cię zabiję”.*

Jola i Darek nie mieli wystawnego wesela. Młodzi na dorobku. On robotnik w hucie szkła, ona drobna urzędniczka, nie było ich stać na wielkie przyjęcie. To zresztą w ogóle nie był czas wielkich wesel w ekskluzywnych restauracjach, czy choćby domach weselnych. Po ślubie organizowało się coś w pobliskiej remizie albo w mieszkaniu, dopożyczając od sąsiadów krzesła i talerze.

Ich przyjęcie odbyło się w świetlicy przy ogródkach działkowych, należących do huty „Feniks”.

Tata Darka to załatwił. Miał tam działkę pracowniczą z altanką. Nic wielkiego: parę grządek z rzodkiewką i pietruszką, porzeczki, agrest, foliowy tunel na ogórki i pomidory. Za to czerwiec 1984 był piękny i upalny. Impreza się udała. Trwała trzy dni: wesele właściwe, poprawiny i spotkanie dla znajomych rodziców. Wszystko przebiegało spokojnie, no może poza jednym incydentem. Miejscowy żulik Jan D. z kolegami kręcili się w pobliżu, licząc, że trafi się darmowa flaszka.

– Przy hucie „Feniks” stoi olbrzymi mrowiskowiec nazywany Pekinem, gdzie zasiedlono najbiedniejszych mieszkańców. To była nieciekawa okolica, enklawa przestępczości, gdzie lepiej nie zaglądać po zmroku – wspomina Małgorzata Ronc. – Zamieszkiwał ją głównie lumpenproletariat, a całe dnie, od samego rana, sphywały gorzałą i tanim winem.

Ojciec Darka odmówił postawienia połówki. Jak chcą, może im najwyżej odsprzedać. Dogadali się, ale Jan D. był niezadowolony, cena też mu się nie podobała. Złorzeczył pod nosem, że im „łby pourzyna”.

Jola, żeby załagodzić sytuację, nakroiła im jeszcze kielbasy na zakąskę i sobie poszli. Darek znał Jana i jego kumpli. Nie żeby się zaraz przyjaźnili, ale wszyscy razem pracowali w hucie „Feniks”. Jola nie знаła tu nikogo. Widziała tych ludzi pierwszy raz w życiu i trochę się ich bała.

Młodzi przez te weselne noce sypiali w altance na działce. Nie mieli własnego mieszkania, a po ślubie

chcieli pobyć sami. Poza tym Darek miał stąd blisko do pracy, bo „Feniks” był tuż obok. Czwartego wieczora też poszli do altanki. To miał być już koniec świętowania. I początek nowego, wspólnego życia. Odwiedził ich jeszcze brat Joli ze znajomą. Wypili po kieliszku, ale wszyscy byli już zmęczeni po weselnym maratonie, chcieli iść spać. Brat Joli myślał nawet, czyby się nie przekimnąć na leżaku, bo noc była naprawdę ciepła, ale zaczęło kropić i znajoma zdecydowała, że jednak wracają. Może gdyby zostali...

Darek przypomniał sobie, że rano obiecał postawić po kieliszku wracającym z nocnej zmiany kolegom z „Feniksa”. Było już za późno, żeby coś kupić w sklepie, ale słyszał, że w okolicy prowadzi metę pani Trupkowa. Kto jak kto, ale jego kolega z huty musiał wiedzieć, gdzie to dokładnie jest. Postanowił, że jeszcze do niego zajrzy. Nie było daleko, Stanisław D. mieszkał tuż obok działek. Był w domu, bo razem z braćmi i kumplem, Janem D. – tym, który próbował podczas wesela załapać się na flaszkę – kończyli właśnie kolejne wino. I tak mieli zaraz skończyć do Trupkowej. Załatwić połówkę, żaden problem.

Dochodziła północ, kiedy Darek wrócił do altanki. Jola jeszcze zapaliła i zasnęli.

Darka obudził potworny ból głowy. Kiedy dotknął jej rękami, poczuł coś ciepłego i mokrego. Krew. Było ciemno, ale zdołał dostrzec kontury sylwetki wysokiego mężczyzny, w kurtce z postawionym kołnierzem. Krzyknął:

– Żono, śmierć po nas przysła!

Jakimś cudem udało mu się pchnąć z całej siły napastnika i wybiec z altanki po pomoc do portierni huty „Feniks”, wołając:

– Wampir na działkach! Ratujcie moją żonę!

To naprawdę musiał być cud. Biegły Andrzej Agaciak stwierdził potem, że Darek dostał w głowę pięć ciosów siekierą, które spowodowały wstrząs mózgu, wgniecenie kości czaszki i uszkodzenie opony twardej. Mógł tego nie przeżyć, a co dopiero sprowadzać pomoc. Na szczęście to był młody, silny mężczyzna. Jednak po tym napadzie nigdy nie doszedł do siebie. Cierpiał na bezsenność, stany lękowe, ataki padaczki. Kości czaszki zostały zniekształcone na trwałe.

Gdy dotarł na portiernię, była godzina 2.48. Krzyczał: „Bandziory zabili mi żonę!”, był zlany krwią, a gdzie się zatrzymał, tam zaraz tworzyły się kałuże.

Koledzy z huty zadzwonili po milicję, pogotowie i pobiegli na działki.

Jolę obudziły słowa: „Wstawaj, idziemy”. Gwałtownie rozbudzona, nie wiedziała, co się dzieje. Pomyślała, że może Darek jednak poszedł pić z kolegami i przysłał po nią kumpla. Bolała ją głowa, tak, jakby wcześniej ktoś ją uderzył. Ma bardzo mocny sen, a w dzieciństwie uległa wypadkowi i właściwie nie słyszy na prawe ucho. Nie usłyszała więc, jak napastnik wybijał szybę w altance, nie słyszała ataku na Darka ani jego krzyków.

Gdy się dobudziła, zobaczyła, że jest naga od pasa w dół, a na podłodze leżą jej podarte majtki. Napastnik przystawił jej siekierę do szyi i kazał wychodzić.

– Dokąd idziemy? Gdzie jest Darek? – pytała.

– Zobaczysz dokąd. A ja specjalnie zmieniam głos, bo my się znamy. Chciałem się z tobą dwa razy umówić. Nie odwracaj głowy, bo jak zobaczysz moją twarz, to cię zabiję – powtarzał.

Kontrolując siekierą jej ruchy, prowadził ją alejkami po działkach. Bosa, półnaga, sparaliżowana strachem szła posłusznie. Doszli do foliowego tunelu. Mężczyzna wrzucił tam zabraną z altanki kołdrę i kazał Joli wejść do środka. Sam został na zewnątrz, tak jakby na kogoś czekał.

Joli przemknęła przez głowę, że czeka na kolegów; że chodzi o zbiorowy gwałt. Podbiegła do końca tunelu, przegryzła folię, rozerwała ją i wybiegła na działki w kierunku głównej bramy. Zaczęła krzyczeć. Mężczyzna ją dogonił, pchnął silnie na ziemię. Była pewna, że teraz ją zabije, ale wepchnął jej tylko palec do pochwy, mówiąc: „No to masz”, a potem kazał się podnieść i iść dalej. Doszli do furtki, ale była zamknięta.

– Przechodź przez siatkę – polecił.

Nie wie, jak udało się jej wspiąć na to ogrodzenie. Była półprzytomna, strasznie bolała ją głowa. Potem okazało się, że od ciosu zadanego podczas snu miała pękniętą potylicę. Gdy była na szczycie ogrodzenia, napastnik popchnął ją tak, że upadła na twarz. Momentalnie

nie się zerwała i zaczęła biec w kierunku ulicy. Minał ją jakiś duży samochód. Na szczęście zatrzymał się i cofnął.

To była karetka pogotowia, wezwana przez portierkę huty „Feniks”. Dojechali do bramy głównej. Tam razem z milicjantami czekał Darek, cały we krwi. Przynieśli im jakieś koce. Zanim Darka pogotowie zabrało do szpitala, zerknęli na swoje dłonie. Nie mieli obrączek.

Napastnik musiał je im ściągnąć, kiedy spali. Jola straciła też trzy złote pierścionki. Jeden z korałem, jeden w kształcie sygnetu z fioletowym oczkiem, otoczonym jakby złotym pyłkiem, i jeden w kształcie listka dębu z żółędziami. Tania masówka, ale je lubiła. Nie próbowali wtedy zrozumieć, co się stało. Kto im to zrobił i dlaczego. Czuli tylko, że ktoś zmienił im początek nowego życia w horror.

W tym samym czasie na działki dotarł pluton milicji. Przeczesywali teren ogródków. Przeszukali altankę. Oprócz szkła z rozbitego okna funkcjonariusze znaleźli tam też pęk kluczy i urwany granatowy guzik.

Około szóstej rano udało się ściągnąć z Radomska milicjanta z psem tropiącym. Pies wywęszył ślady i poprowadził najpierw do foliowego tunelu, potem do furtki wejściowej, gdzie odnalazł strzępek materiału z granatowym guzikiem, identycznym jak ten odnaleziony na podłodze altanki. Dalej pies pobiegł na podwórko posesji przy ulicy Przemysłowej, gdzie mieszkał Stanisław D. – kolega Darka, który poprzedniego wieczora załatwiał mu flaszkę na mecie u Trupkowej.

W czasie przeszukania w mieszkaniu Stanisława milicjanci trafili na podartą koszulę, do której pasował znaleziony na płocie strzępek materiału. Żona Stanisława bez wątpliwości stwierdziła, że pęk kluczy zabezpieczony w altance należy do jej męża. Profil sprawcy też pasował.

Bracia D. byli znani w okolicy. Ich matka nawet skarżyła się, że „co się tylko stanie, czy chłopaki winne, czy niewinne, to milicjanci zawsze przyjeżdżają do D-ów”.

Stanisław jako nieletni był karany za kradzież z włamaniem, a potem odsiedział trzy lata za rozbój. W 1980 roku na jednej z ulic Piotrkowa uderzył przechodnia pięścią w twarz, zabrał mu portfel, kożuch i zegarek marki Rakiet. Jego wyjaśnienia, że klucze i guzik ktoś musiał do altanki podrzucić, nie brzmiały przekonująco. Podobnie jak opowieść o tym, że koszulę podarł tego dnia podczas bójki z jakimś typem na Krakowskim Przedmieściu w Piotrkowie. Jakim cudem skrawek materiału przemieścił się z centrum miasta na parkan działek, D. nie potrafił wytłumaczyć.

– *Dowody niezbite, idziemy do sądu z aktem oskarżenia* – wspomina Małgorzata Ronc.

Stanisława obciążał dodatkowo przechwycony z aresztu gryps do żony, w którym D. pisze, żeby sprowała mu alibi, ale „tak, żeby było bez przypału, bo inaczej leżę na całej linii”. Tłumaczył to dość enigmatycznie. Sformułowanie, że „leży na całej linii”, miało niby oznaczać, że areszt źle wpłynie na jego życie małżeńskie.

KULISY SŁYNNYCH ŚLEDZTW

Jak domyśliła się, że znaleziona w rzece czaszka to dowód
w niezakończonym śledztwie?

W jaki sposób zdobywała zaufanie informatorów?

Jak przekonała seryjnego mordercę do ujawnienia nieznanej milicji zbrodni?

Już jako dwudziestoosmioletka prowadziła najbardziej skomplikowane
dochodzenia. Powierzono jej śledztwo w sprawie Mariusza Trynkiewicza
i seryjnego mordercy Henryka Morusia.

W środku nocy jeździła na miejsca zbrodni, przesłuchiwała morderców,
oglądała ciała ofiar.

Wielokrotnie jej grożono, zastraszano.

Niemal wszystkie sprawy, w których oskarżała, zakończyły się
wyrokiem skazującym.

Prokurator **Małgorzata Ronc** w rozmowie z **dziennikarką „Polityki” Joanną Podgórką** opowiada o tym, jak wiele musiała poświęcić, by odnieść sukces
i odnaleźć się w brutalnym męskim świecie przestępców, milicjantów
i donosicieli.

**HISTORIA NIEZWYKŁEJ KOBIETY, JEJ SIŁY I DETERMINACJI, KTÓRE
POZWOLIŁY JEJ PRZETRWAĆ W ŚWIECIE ZŁA I ZBRODNI.**

Cena 36,90 zł

